

# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 34

Katowice, dnia 19-go sierpnia

1928

## Niedziela dwunasta po Zielonych Świątkach.

### LEKCJA

z II. listu św. Pawła do Koryntjan, w rozdziale III., wiersz 4—9.

Bracia! Mamy taką ufność ku Bogu przez Chrystusa: nie iżbyśmy byli dostateczni sami z siebie, ale dostateczność nasza z Boga jest, który też uczynił nas godnymi sługami nowego Testamentu, nie literą, ale duchem: bo litera zabija, ale duch ożywia. A jeślić posługowanie śmierci, literami wyrażone na kamieniach, było w chwale, tak iż synowie Izraelowi nie mogli patrzeć na oblicze Mojżeszowe, dla chwały oblicza jego, która niszczeje: jakoż nie więcej posługowanie Ducha w chwale będzie? Bo jeśli posługowanie potępienia jest chwałą; daleko więcej posługowanie sprawiedliwości obfituje w chwałę.

### EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział X., wiersz 23—37.

W on czas: Rzekł Jezus do uczniów Swych: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie! Albowiem powiadam wam: Wielu proroków i królów chciało widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co wy słyszycie, a nie słyszeli.

A oto pewien prawnik powstał, i chcąc Go wybadać, rzekł: Mistrzu, co mam czynić, by osiąść życie wieczne? On zaś mu powiedział: Co napisano w zakonie, jak czytasz? A on odpowiadając rzekł: „Będiesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z całej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej“, a „bliźniego swego jak siebie samego“. A On mu odrzekł: Dobrześ odpowiedział: czyni to, a żyć będziesz. On zaś, chcąc się usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest moim bliźnim?

Jezus tedy, ciągnąc rzecz dalej, mówił: Pewien człowiek szedł z Jerozolimy do Jerycha, i wpadł między zbójców; ci nawet z odzienia odarli go, i poraniwszy zbiegli, pozostawiając go na pół umarłym. Przypadkiem zaś tą samą drogą szedł pewien kapłan; popatrzył na niego, i minął. Podobnie i lewita, nadszedłszy na miejsce, popatrzył na niego, i minął. Ale pewien Samarytanin, podróżując, przechodził obok niego i ujrawszy go, zlitował się. Przystąpił tedy, obwiązał rany jego, naławszy oliwy i wina, posadził go na swoje juczne bydle, zawiązał do gospody i pielęgnował go. Dnia zaś następnego wyjął dwa denary, i dał je właścicielowi gospody i rzekł: Miej o nim staranie, a jeśli coś nad to wydasz, ja zwrócę ci gdy wracać będę. Któryż z tych trzech, zdaniem twojem, okazał się bliźnim względem tego, co wpadł między zbójców? On zaś odrzekł: Ten, który miłosierdzie mu okazał. A Jezus mu powiedział: Idźże. — i ty czyni podobnie.

## Na dzień św. Bartłomieja Apostoła.

### LEKCJA

z I. listu św. Pawła do Koryntjan, w rozdziale XII., w. 27—31.

Bracia! Wy jesteście ciałem Chrystusowym i członkami z członka. A Bóg postanowił niektórych w kościele: naprzód Apostołów, potem Proroków, po trzecie Nauczycieli, potem mocy ku temu, łaski uzdrowienia, dopomagania, rządzenia, różność języków i mów wykładania. Izali wszyscy apostołami? Izali wszyscy prorokami? Izali wszyscy prorokami? Izali wszyscy nauczycielami? Izali wszyscy mocami? Izali wszyscy łaskę mają uzdrowienia? Izali wszyscy językami mówią? Izali wszyscy tłumaczą? Pragnijcie zatem lepszych darów.

### EWANGELJA

u św. Łukasza, w rozdz. VI., w. 12—19.

W on czas: Wszedł Jezus na górę, aby się modlić, spędził noc całą na rozmowie z Bogiem. A skoro dzień nastął, przywołał uczniów swych, i wybrał z pomiędzy nich dwunastu, których też nazywał Apostołami: Szymona, którego nazwał Piotrem, i Andrzeja, brata jego; Jakóba i Jana; Filipa i Bartłomieja; Mateusza i Tomasza; Jakóba, syna Alfeusza, i Szymona, zwanego Gorliwcem; Jude Jakóbowego i Judasza z Karjotu, który stał się zdrajcą.

A zstąpiwszy wraz z nimi, stanął na równinie, On i zastęp uczniów Jego, i wielka rzesza ludu z całej Judei i Jerozolimy, oraz okolic nadmorskich, i z Tyru i z Sydonu, którzy się zbiegli, by Go słuchać, i znaleźć uzdrowienie z niemocy swoich. Także i nekani przez duchy nieczyste doznawali uleczenia. To też wszystek lud starał się Go dotknąć, gdyż moc cudotwórcza promieniowała z Niego, i uzdrawiała wszystkich.

## NAUKA.

### O potrzebie Krzyża.

(Ks. Józef Tuszowski).

Krzyż — to nie odłączny towarzysz życia. Chrześcijanin każdy, nietylko, iż się musi oswoić z tą myślą, nietylko, iż dobrowolnie winien pod krzyż poddać ramiona, lecz nadto obowiązkiem jest jego krzyż ten ukochać, połączyć się z nim i zespolic najściślej; bo jako Chrystus Pań przyszedł na świat, by cierpieć i umrzeć na krzyżu, podobnie i my, krwią Jego przenajdroższą obmiyci a we Chrzcie św. do nowego życia odrodzeni z wody i Ducha św., mamy Go naśladować w umiłowaniu cierpienia i krzyża. Aż nie wiecie — woła Apostół — iż którykolwiek w Chrystusie Jezusie jesteśmy ochrzczeni, w śmierci Jego ochrzczeni jesteśmy. A którykolwiek jesteśmy ochrzczeni w Chrystusie, oblekliśmy się w Chrystusa. A to ochrzczenie w śmierci Chrystusa i przyobleczenie

się w Chrystusa nie jest czem innym, jedno synowstwem Bożem i współdziedziectwem z Chrystusem, z którym, jak mówi na innym miejscu św. Paweł, jeśli jednak spółcierpimy, abyśmy też spół byli uwielbieni. Ale żywot synów Bożych na ziemi słusnie Job bojowaniem nazywa, a dziedzictwo synów Bożych niebieskie wiele wymaga walki, cierpienia i krzyżów, bo sam Zbawiciel powiada: Królestwo niebieskie gwałt cierpi, a gwałtownicy porywają je.

I musisz najprzód, bracie, walczyć ze samym sobą, bo, według Apostoła, którzy są Chrystusowi, ciało swe ukrzyżowali z namiętnościami i z pożądliwościami. Codzień, na każdym kroku spotkasz się z krzyżem i gwałt musisz zadać zepsutej naturze, która się wzdryga przed każdym cierpieniem i bólem. Wychodzisz z wiosną na rolę i pragniesz szczyrze w imię Boże wziąć się do pracy. Tak ci lekko, swobodnie i błogo na duszy; to nowe życie, do którego się wszystko budzi z zimowego uspienia, wlewa ci nową w serce otuchę, daje nadzieję, iż po ciężkim przednowku nastanie rok lepszy, i wierny ojczysty zagon tym razem plon wyda obfity. Wszystko dokoła ciebie jasne i czyste, na niebie ni jednej chmurki, skowronki śpiewają radośnie swą piosnkę poranną, więc zachwycony dobrocią Bożą, który ten cały piękny świat stworzył dla ciebie, łączysz twój głos z głosem chwalcących Go stworzeń, i z piersi twej płynie dźwięczna po rosie pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze... Lecz patrz — tam na twej roli był już przed tobą zły sąsiad, zarał miedzę, rozrzucił kopiec graniczny i chce ci wydrzeć nieprawnie część tej ziemi, na której twój dziad i ojciec i tyś sam krwawo pracował. I wnet cała radość z serca ucieka, a na jej miejsce przychodzi gorycz i pragnienie pomśzczenia krzywdy. Ale tyś, bracie, jest dzieckiem Bożem, tyś bratem Chrystusa, tyś współdziedzicem nie tego kawałka ziemi, który ci przedziej lub później rzucić wypadnie — ale ojczyzny niebieskiej, wiecznej. Ty niesprawiedliwie krzywdą za krzywdę nie możesz płacić, bo cię Pan Jezus nauczał słowem, iż temu, który się chce z tobą prawem rozpierać, a suknię twoją wziąć, puść mu i płaszcz — a to co słowem nauczał, na krzyżu przykładem stwierdził, bo Mu zabrano odzienie i nago do krzyża przybito, iżby się Pismo wypełniło, mówiące: Podzielili sobie szaty moje, a o suknię moją rzucili los.

Innym znów razem twój brat, lub siostra, lub może twe własne dziecko, nie żyje tak, jakby żyć należało. Od kościoła, od kazania, od sakramentów ucieka; marnuje czas, marnuje grosz — w głowie tylko zabawy i psoty, na ustach śmiechy i nieprzystojne żarty, a w sercu zło i namiętne pragnienia. Przychodzisz do niego i mówisz: „Bracie, siostrze, czasby już był upamiętać się; czyż ty się Boga nie boisz, żeś taki lekkomyślny? czyż nie wiesz, że ci przed Nim zdać przyjdzie rachunek? Ot widzisz, teraz czas wielkanocnej spowiedzi: pogódź się z P. Jezusem, któregoś dotąd obrażał“. Ale w odpowiedzi spadnie na ciebie cały grad przekleństw i obelg, a może nawet nieszczyśny w zapamiętaniu rękę na ciebie podniesie; a ty, bracie, znieść musisz wszystko cierpliwie, bo P. Jezus przez usta Proroka przemawia do ciebie z krzyża: Twarzy mojej nie odwróciłem od łajzących i plujących na mnie.

Słubowałeś trzeźwość. Wiesz z doświadczenia, iż wiele razy w liczniejszej znalazłeś się kompanii, tyle razy upadłeś i poddałeś się zgubnemu nalogowi pijaństwa, zacierając w swej duszy ten obraz

Boży, który cię ponad inne stawia stworzenia. A teraz w święto wracasz z kościoła i przechodzisz tuż obok gospody, gdzie przy kieliszku twoi znajomi zabawiają się gwarnie. Ale ty, bracie, musisz sobie gwałt zadać, musisz oczy odwrócić od miejsca pijatyki i zgorszenia; musisz uszy zamknąć na żartobliwe, wesołe mowy, bo w oczach ci stoi jeszcze obraz Ukrzyżowanego, w uszach brzmi smętna nuta Gorzkich żalów, któreś śpiewał przed chwilą, a w sercu słyszysz głos spragnionego Jezusa, co woła słowy Psalmu: I dali żółć na pokarm mój, a w pragnieniu mojem napawali mię octem.

Miałeś dużo przyjaciół, boś był w dostatku; ale od chwili, gdy nędza zawitała pod strzechę, gdy ci z dopustu Bożego grad zboże wybił, pomór padł na dobytek, a choroba resztę grosza wyciągnęła z kieszeni, widzisz, iż cię wszyscy odbiegli, zapomnieli. O! wtedy pociechy nie szukaj u ludzi, bo jej u nich nie znajdziesz; lecz stań pod krzyżem, na którym Pan Jezus z miłości dla ciebie zawisnął opuszczony i smutny i wołający z Dawidem: Czekalem, kto by się społem smucił, a nie było; i kto by pocieszył, a nie znalazłem.

Czemu dzisiaj tak wielu nieszczęśliwymi się czuje i niezadowolonymi ze swego stanu? czyż nie dlatego, iż idą za głosem świata, a nie chcą pojąć tajemnicy cierpienia i krzyża? Dlaczego tylu z pośród was daje się uwieść uludnym mrzonkom — porzuca zagon rodzinny, żonę i dzieci, a idzie szukać szczęścia hen, daleko, za morzem, w Ameryce? O! pono, bracie, dlatego, że gardzisz krzyżem, że wierzysz w szczęście, jakie ci świat obiecuje, a nie wiesz, że się tam może przed cięższym krzyżem nie skryjesz; a krzyż, któryś ty sobie własną ręką wyciosał, ciężki jest, bo nie z woli Bożej podjęty. O jakże to boleśnie zapytać: „dawno byleś, bracie, po raz ostatni u spowiedzi?“ a w odpowiedzi usłyszeć: „o — jeszcze dwa albo trzy lata temu“... „Zmiłuj się, bracie, a czemu? — „A bo prosię ojca duchownego, ja był w Ameryce, a tam, gdzie ja pracowałem, nie było księdza“. — „Toś, bracie, pewnie i w kościele nie bywał?“ — „A nie, bo i kościół bardzo daleko“. — „A czyś ty przynajmniej święcił niedzielę?“ — „A gdzie; kiedy ja był w takiej służbie, że trza było i we święta jak wół pracować“. — „To możeś przynajmniej pościł?“ — „Kiedy mi się nie dało, bo ja to musiał jeść co inni, a tam nikt nie pościł“. — I ty, bracie, dziecko Boże, stworzone do nieba, ty, któryś się na Chrzcie św. przyoblekł w Chrystusa, patrzaj, do czegoś doszedł, wzgardziwszy krzyżem, a idąc za głosem świata! Pomyśl, bracie, coby to było, gdybyś nie był doczekał świętej spowiedzi? I cóżby ci z tego przyszło, choćbyś nawet całą tę Amerykę posiadał na własność, gdy Chrystus Pan mówi: Cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął.

Inny nieprzyjaciel to szatan i inne złe duchy, „które na zgubę dusz blakają się po świecie“. Wie Kościół św., jak ciężka i trudna to walka, i dlatego nakazuje kapłanom, po skończonej Ofierze wzywać św. Michała Archanioła, by „broniał nas w walce przeciwko złości i zasadzkom szatana“. Ale najpočetnějszy oręż, jaki nam daje do ręki, to krzyż, na którym P. Jezus przez mękę swoją odkupił świat. A najprzód we Chrzcie św., przez który stajesz się dzieckiem Bożem, kładzie ci kapłan znak krzyża na czole, by szatan nie miał mocy nad tobą. A szatan to wróg nad wszelki wyraz przebiegły i chytry. Najprzód będzie się starał szkodzić na duszy, podsuwając różne wewnętrzne pokusy; a gdy

zobaczy, że jego brudnym podszeptom nie dajesz ucha, to jak Hiobowi będzie ci szkodzić na ciele i mieniu, byś złożony niemocą i nędzą znękany począł narzekać i szemrać przeciwko Bogu. Tedy musisz, bracie, cierpienie ukochać, byś, wyrzekając się krzyża, nie wyrzekł się razem Chrystusa, podobnie jak mieszkańcy miasta Geraza, którzy utracili stado wieprzów, gdy za dopuszczeniem Jezusa weszli w nie wyrzuceni przez Niego z opętanych czartowie; co gdy się stało, a oto wszystko miasto — opisuje Ewangelista — wyszło przeciwko Jezusowi, i ujrzawszy Go, prosili, aby z ich granic odszedł.

## ŁZA.

Pan Józef pamiętał lepsze czasy, zanim został kancelista. Kto spozrywał na jego zwiędłą twarz, z zastęglym wyrazem apatii, z oczyma zaczerwienionymi od słońca nad zapisanym papierem, nie domyślał się, że pod tą głową przechodziły burze, a w tej piersi, opiętej w wyszarzany surdut, gasły niegdyś jedna po drugiej nadzieje. Tak, niegdyś, byli tam owi goście, o skrzydłach promiennych i tężowych, lotni i nieuchwytni, jak lotnym i nieuchwytnym jest strumień życia. Zjawili się z dźwiękiem harmonijnej muzyki niebiańskich obietnic, budowali czarodziejskie gmachy i trzęśli złoty pył złudzeń na szarą dziś przędzę; potem niknąć poczęli, a z ciemnych otchłani wypełzała tymczasem zmora zawodów o nietoperzowych skrzydłach i głowie Gorgony. I kamieniało drgające serce w opustoszałej piersi.

Mówili znajomi, że pan Józef „się“ zmarnował, on mówił, że zmarnowały go warunki życia. Kto miał rację, nie chcemy rozstrzygać, dość, że stopniowo z „pełnego obietnic młodzieńca“ stała się maszyna do kopiowania, maszyna pełna już tylko kaligrafowanych zapędów, zaokrąglająca wytwornie wielkie D. lub fałście i węzowo kreśląca wielkie S. Z dawnym życiem łączył go tylko syn, który wychowywał się w szkołach pod opieką ciotki; pan Józef był bowiem wdowcem.

Stoszesćdziesiąt złotych, które otrzymywał regularnie co pierwszego za siedm godzin dziennej pracy, wystarczały mu zupełnie na opłacenie izdebki, obiadów i nawet czarnej kawy z gazetą w cukierni. Ale pan Józef miał jedną miłość głęboką i jedną ambicję wielką w wystygłej piersi — syna. Syn miał spełnić te nadzieje, które rozpierzchły się i fruwały w przestrzeń przed ojcem. Aby jednak cel ten osiągnąć, trzeba było syna kształcić, kształcić wysoko i długo, a wykształcenie kosztuje. Ciotka nie wiele dopomóc mogła, pensja zaś 160 złotych nie wystarczała.

Lecz pan Józef, na szczęście, słynął jako wyborny i punktualny kopista. Jego wykwintne i wyraźne pismo zyskiwało mu zwolenników, a punktualność licznych klientów. Klienci owi składali się w znacznej części z literatów, którzy dawali mu przepisywać powieści do druku, czasami adwokatów, a wreszcie nawet i reżysera teatrów ekspedjowała nieraz przez woźnego egzemplarze do przekopjowania, lub do rozpisania ról. Z tego źródła pan Józef miał pewien dochód, pozwalający mu łożyć na edukację syna.

Właśnie któregoś dnia jesiennego pan Józef wrócił już o późnym zmierzchu do swej izdebki. Zapalił lampę, odkorkował atrament, obejrzał pióro i spróbował go na paznokciu. Przygotował papier i linję, a potem, zasiadł-

szy na krześle przed stolikiem, sięgnął po jakiś manuskrypt.

Pan Józef miał zwyczaj spełniać swą pracę kaligraficznie, z całą systematycznością a nawet artystyzmem. Pisząc, lubował się w wykwintnych formach liter i porównywał je do hieroglifów w rękopisie.

— A też to ci literaci piszą! niech ich!... To nie litery, to kulasy, to kropki, przecinki, bez formy i znaczenia. Ciekawy jestem, czyby tak który odczytał siebie, np. po miesiącu? Tu można oczy zgubić.

Pan Józef jednak z czasem nabrał dużej wyprawy w odcyfrowaniu rękopisów. Czytał je biegle, ale tylko w miarę kopiowania i wyłącznie do tego celu. Czytał zaś oddzielne frazesy i najczęściej nie znał całości. Gdyby następnie spotkał się np. z powieścią przez siebie przekopjowaną, w druku, mógłby śmiało powiedzieć:

— Przepisywałem to, ale nie czytałem.

Istotnie, pan Józef pochłonięty dokładnością kopji, przepisywał, ale nie czytał.

Dziś jednak czuł się jakoś niezwykle znużony i jakby senny. Nieszła mu robota, że zaś nie była pilna, więc obiecywał sobie, że ją odłoży i wcześniej spać pójdzie. Ziewnął też przeciągle, uczuwając przedsmaku snu, i, wstawszy od stolika, zaczął przy maszynie majstrować około przyrządzenia wieczornego posiłku — do poduszki.

Nagle zapukano do drzwi i ukazała się postać famulusa teatralnego.

— Moje uszanowanie panu! Pan reżyser przysłał egzemplarz do przepisania.

— Dobrze, dobrze. Połóżcie tam na stoliku, bo mam ręce powalane. A na kiedy?

— O, to pilne! Musi być koniecznie na jutro rano, Pan Józef rękami rozwiódł.

— Bójcie się Boga! Toż to robota na całą noc.

— Ja tam nic nie wiem. Pan reżyser powiedział, że jak pan Józef się nie zgodzi, to żebym zaniósł do p. Hilarego.

I woźny sięgnął znów po zwitek papierów.

— No, to już przepiszę, przepiszę!... A to skaranie Boskie z takim pośpiechem.

— Więc będzie na rano?

— Będzie, będzie. Możecie przyjść.

Woźny wyszedł, a pan Józef obtarłszy ręce, wziął rękopis: Był to jakiś dramat pięcioaktowy p. t. „Zmarnowany“. Robota, akurat na całą noc. Co prawda pan Józef niejedną noc przepędził nad kopiowaniem, ale dziś wyjątkowo czuł się nieusposobionym. Teraz nawet, jak na złość, gdy widział pracę przed sobą, senność ogarniała go coraz większa. Co tu robić? Możeby spróbować czarnej kawy? To podnieca i sen rozpędza.

Pan Józef wziął kubek i powędrował do stróżki, dając polecenie, aby przyniosła mu kawy czarnej z pobliskiej kawiarni.

— Tylko prosicie, Maciejowa, o mocną! — upomniał.

— Juści to się wie, jak czarna to i mocna.

Za chwilę znów pan Józef siedział przed stolikiem. Obok atramentu czarnego stała tu jeszcze flaszeczka z atramentem czerwonym do podkreślania nawiasów i wskazówek, leżały linje, scyzoryk do podskrobywania, kilka rozmaitych wielkości ryg, a tuż obok stał na maszynie kubek z czarną kawą.

Z pierwszym aktem poszło jako tako. Litery szły równo i wykwintnie, szeregując się na stronicach. Znużenie jednak ciążyło nad panem Józefem. Popijał

więc czarną kawę i kopał papirosy, wstając co pewien czas dla rozruszania.

W ten sposób ubił wreszcie akt drugi i trzeci. Na zegarze było już dawno po północy, w pokoju unosiły się kłęby dymu i pan Józef wstawał coraz częściej. Przekłete znużenie, skąd ono się wzięło. Kopiając, wobec opanowanej go senności, pan Józef jeszcze mniej rozumiał, niż zwykle oprócz nazwisk osób, powtarzanych nieustannie, nic więcej z całego dramatu nie pamiętał. Zresztą, co go tu obchodziło! Co mu tam po pisanych dramatach? Alboż to nie miał ich sam w życiu? Naprzykład, choćby śmierć ojca i matki, których tak wcześniej stracił... Chodził wtedy do szkół i był celującym uczniem. „Antaś” (tak nazywali poczytywanego nauczyciela matematyki) gładził go nieraz po płowej czuprynie i mówił:

— Józiek, ucz się, bo masz fenomenalne zdolności.

Aż nagle przyszła śmierć ojca. Była to pierwsza śmierć, którą widział, taka straszna, taka blada, taka zimna...

Ojciec był wszystkim w domu, wszystko też z jego śmiercią się zmieniło. Matka wysiłkiem starała się zadość uczynić swym obowiązkom i kształciła go dalej. On wtedy nie odgadywał, ani umiał ocenić tych wysiłków. Zdawało mu się tylko, że matka jego bladła i szczupłała. Ale to nie zwracało jego uwagi. Potem zaczął słyszeć kaszel, potem ciotka sprowadziła się do ich mieszkanka, a matka poszła do łóżka — aż wreszcie raz, gdy wrócił ze szkoły, w głowach pościeli u matki zastał gromnicę...

Zabrała go ciotka. Była to stara panna, żyjąca z bardzo skromnych funduszków. O dalszej nauce trudno było marzyć i należało pomyśleć o pracy.

Chłopiec „o fenomenalnych zdolnościach” został puszczony samopas. Nie wyniósłszy nic ze szkoły ogólnej, coby mu pożyteczną pracę zapewnić mogło, próbował tego i owego. Miał zdolność do rysunków, więc był u jakiegoś sztycharza, potem pracował u geometry, potem usiłował zostać aktorem, a nawet próbował pióra. We wszystkim okazywał pewne zdolności, ale brakło mu gruntowniejszego wykształcenia.

Chciał uzupełnić braki, ale nie miał kierunku i nie miał wytrwałości. Robił wysiłki bez systemu i ładu, a potem ustał.

Wreszcie, w epoce, kiedy młode serce najgłośniej przemawia, poznał Zosię...

Pan Józef odrzucił się na poręcz krzesła. Opanowywała go nie tylko senność, ale i jakieś rozmarzenie. Nie wiedział prawie, co pisze. Litery zaczęły mu się mylić i przemieniać, a kilka razy nieposłuszna ręka robiła sztychów lub zakręt zbyt czysty. Wypadało później podskrobywać.

Kopista podniósł się ociężale i przemył sobie oczy zimną wodą, poczem jednym haustem wypił czarną kawę. To go trochę orzeźwiło, ale i podnieciło nerwowo. Zaczął znów pisać, ale rozmarzenie krążyło koło niego, ukryte w obłoku dymu, zagładające do czarnych okien poddaszu i promieniejące w żółtym świetle lampy. Pan Józef bezwiednie pochylał się nad manuskryptem i zaczął odczytywać frazes, na którym się zatrzymał.

„Czy pamiętasz — prawil bohater dramatu — ten dzień cudny? Słońce wtedy świeciło tak jasno, błękit był taki czysty, a nam było tak cicho i dobrze. I tylko serca trzepotały się w piersi, lekliwe i drżące, jak spłoszone ptaszęta. Czy pamiętasz ten dzień, pani?”

Pan Józef wsparł się na stole. O, i on pamięta ten dzień. Było im tak cicho i tak dobrze. Ona była bied-

na, ale to nic! On nie stracił jeszcze nadziei i wiary w przyszłość. Jeszcze budował zamki na owych „fenomenalnych zdolnościach”, które w nim odkrywano i które czuł w sobie w spowiciu. Zdawało się nawet, że się znów wybije. Zaczął pracować u adwokata i przygotowywał się do egzaminu. Potem wstąpi na uniwersytet, potem otworzy kancelarię i będzie słynnym „panem mecenasem”. Tymczasem mogą się pobrać z Zosią, by wspólnie pracować dla przyszłości.

I pobrali się, a z tego związku rychło urodziła się — nędza. Rozpoczęła się walka o życie i pogoń za zarobkiem na kęs codziennego chleba. On już coraz rzadziej zrywał się z obroży i coraz nżej pełzał przy ziemi. Nie było mowy o uniwersytecie, został kancelista. Kopiał papiery i on i żona, a gdy w domu stała się cholera, gdy zaczęły się choroby, runęły do szczytu tęcze gmachy. Zwykła historia, jedna z wielu...

Pan Józef zmrużył oczy i widział, jak im umierały dzieci, jak żona gasła w walce z nędzą i jak wreszcie zmarła, zostawiając mu syna. Przypominał sobie rozpacz swoją szaloną i widział, jak z tej rozpaczki wyszedł już nie człowiekiem, ale zupełną maszyną do kopiań. Przestał myśleć i tylko produkował litery, jak najdokładniejszy Remington. Na klawiszach tej maszyny wygrywała konieczność życia i silniejsza jeszcze — jedyna ocalała z rozbicia ambicja — chęć wykształcenia syna. Poza tem pan Józef miał tylko ambicje maszyny: systematyczność, punktualność i porządek. Robota jego musiała być dokładna, czysta i równa — prawdziwa robota maszynowa.

To mu przypominało obowiązek. Wstrząsnął się i przetarł oczy. Wziął pióro, lecz je zaraz położył. Jakaś prawdziwie fatalna noc! Tył ich spędził nad przepisywaniem i nigdy mu się to nie zdarzyło. Oto znów zaczął bezwiednie przerzucać karty rękopisu — i rzecz niezwykła — czytać! Doprawdy, ładnie pisze ten autor. Jaki to zwrot wzruszający:

„Widzisz pani, to życie biło tak silnie, grało, jak fontanna, tyło tęczowemi barwami, rozsnuwało śnieżne welony mgły i sypało perłami marzeń, a — dziś, mętną i szarą pianą spływa w bezdenną otchłań... To życie zmarnowanego...”

A prawda! Nawet tytuł dramatu:

„Zmarnowany”. On tego na razie nie spostrzegł.

...A dziś mętną i szarą pianą spływa w bezdenną otchłań...

Pan Józef pochylał się nad rozłożonymi papierami, zadumał się i nagle zaczerwienione jego powieki jakoś dziwnie spęczniały, a po polczkach na papier potoczyła się i spadła gruba łza.

Pan Józef wyprostował się nagle i spojrział.

Na przepisanej kopji, na pięknie wyprowadzonej z całym rynsztunkiem zakretasów literze P, rozplywała się teraz błękitno-czarna awa plama, niby kleks ogromny. Piękna historia — przemówiła w nim ambicja maszyny — to honor kopisty tak splamiony. A zdarzyło mu się to po raz pierwszy w tę noc fatalną. Przekłete rozmarzenie!

I pan Józef, zupełnie rozbudzony, pochwyił za bibułę, aby wysuszyć plamę, a potem scyzorykiem i gumą wyskrobał jej ślady. Plama znikła, a gdy paznokciem wypolerował miejsce podskrobane i uzupełnił wykretasy, nic nie zdradzało fatalnego wypadku.

Gdy w dwie godziny potem okno poddasza było silnie błękitnie, a lampa coraz mocniej żółknie, pan Józef pod ostatnim piątym aktem, podkreślał czerwona linja uroczyste słowo.